

Castro i Ukraińcy

30 listopada 2016

Nie, nie chodzi o kondolencje, jakie Petro Poroszenko przesłał narodowi kubańskiemu w związku ze śmiercią Comandante, tylko o komentarze w polskiej blogosferze w dwóch, pozornie całkowicie niezwiązanych ze sobą sprawach.

KAPITALIZM JAKI JEST

Uszanowanie zmarłemu, poprzedzone rytualnym zaklinaniem swego braku poparcia dla komunizmu – złożyli w Polsce nawet niektórzy przedstawiciele prawej strony internetu. Przy czym, jak np. kol. prof. Adam Wielomski – od razu zastrzegając, że tak w ogóle to Castro powinien być robić co innego, niż robił – a najlepiej „budować na Kubie klasę średnią”. Czyli to samo ahistoryczne i aekonomiczne zastrzeżenie, które w Polsce zgłasza się do gen. Jaruzelskiego, że wszystko super, tylko „czemu nie został polskim Pinochetem”. Tymczasem pomysł „budowy klasy średniej” w realiach pobatistowskiej Kuby – nędzy, analfabetyzmu, braku elementarnej infrastruktury – brzmi nieco hecnie. To tak, jakby po DWS korwinowscy agitatorzy jeździli po polskich wsiach bez prądu i dróg namawiając chłopów do „brania spraw we własne ręce i zakładania własnych spółek”.

W ogóle opowieści o „klasie średniej” – powinny już dawno zostać zweryfikowane przez 27 lat polskiej drogi do kapitalizmu (tak, wiem błędnej i skażonej wszechświatowym socjalizmem, bez którego to ho ho!). Klasą średnią są dziś w istocie urzędnicy średniego i wyższego szczebla, kadra firm bądź państwowych, bądź funkcjonujących dzięki powiązaniom i/lub dotacjom oraz niewielka w skali społeczeństwa grupa pracowników korpo wraz z czołówką wolnych zawodów. Reszta, uważając się za białe kołnierzyki – stanowi tylko dół drabiny konsumenckiej, w przywoływanej tu klasycznej stratyfikacji pionowej – co najwyżej klasę niższą średnią. A wszystko to i

tak nie POMIMO, ale DZIĘKI przejściu uprzednio przez okres intensywnego awansu społeczno-zawodowego pokolenia rodziców w czasach PRL. Dla społeczeństwa post-feudalnego, jak przedwojenna Polska czy przedcastrowska Kuba – taki etap był jedyną szansą na skrót cywilizacyjny. Tak to bowiem jest, że opowiada się o szczęśliwym kapitalizmie pełnym dochodowych rodzinnych przedsiębiorstw – a kończy się oligarchią, międzynarodowymi korporacjami i kapitalizmem partyjno-państwowym.

Tak, tak, pozorny kontrargument jest tyleż oczywisty, co równie fałszywy. Słuchając opowieści, że to jeszcze nie jest ten kapitalizm, co powinien, ale kiedy już zaprowadzą ten prawdziwy, to normalnie..., no to...! jesteśmy w sytuacji tego PRL-owskiego dziadka, który słuchając opowieści agitatorów jak będzie w socjalizmie rozmarzał się, że też by chciał do takiej Hameryki pojechać – ale nie widział żadnego związku między tym, co ponoć miało być, a tym, co widział za oknem. Kapitalizm jest taki, jest naprawdę, codziennie, w Polsce, w Unii Europejskiej, w USA, a nie jaki był (?) rzekomo w XIX wieku, czy o jakim piszą w „Najwyższym Czasie!”. Innego nie ma i zapewne nie będzie, kropka.

Z kolei teza o podobno oczywistej niższości i nieefektywności systemu planowania gospodarczego (jakby gdzieś naprawdę nie prowadzono w ogóle polityki ekonomicznej, która sama w sobie jest przecież rodzajem planowania) bierze w istocie pod uwagę tylko jedno kryterium: zaspokajanie bardzo szczególnych potrzeb konsumpcyjnych (osławiony brak bananów w sklepach). W ten sposób nie tylko abstrahuje się np. nie tylko od punktu wyjścia danej gospodarki (polskiej, kubańskiej itd.), a ponadto popada się w kolejny anachronizm, przekładając dzisiejszą dostępność dóbr konsumpcyjnych, w rodzaju przemysłowo hodowanej żywności czy produkowanych w trzecim świecie tanich dóbr przemysłowych – na realia lat 1970. czy 1980. i tłumacząc, że wtedy nie było salami w plastrach (za Gierka zresztą było...) , taniej chińskiej elektroniki i

kambodżańskich kolorowych bluzeczek. I chociaż „prywatny” dyskutant może sobie stwierdzić, że ma makroekonomię w nosie, bo chce mieć to salami, smartfona i bluzeczkę – to jednak kształtować pod takim kątem gospodarki całego państwa i co za tym idzie także struktury społeczeństwa – po prostu się nie da, o ile jedno i drugie ma w ogóle przetrwać.

Zwłaszcza, że zagrożeniem dla ich istnienia jest jeszcze jeden, oficjalnie pomijany lub bagatelizowany czynnik.

CZYNNIK NARODOWY JAKI JEST I BĘDZIE

Trudno w to może uwierzyć, ale pojawiły się ostatnio głosy „eksperckie” biadolące, że „Francja i Niemcy wyprzedzą Polskę w wyścigu [sic!] po ukraińskich pracowników”. Tzn. po „młodych, przedsiębiorczych Ukraińców” absolutnie ponoć niezbędnych na polskim rynku pracy. Już pomińmy omawianą już parę razy smutną konstatację, że „niezbędność” ta sprowadza się do uporu części potencjalnych pracodawców, by raczej do dowolnej niemal pracy ściągać sobie kogo bądź skąd bądź – byle tylko nie podnieść płacy dotychczas zatrudnianemu. Mamy więc w Polsce do czynienia z sytuacją, o której rzadko pisano w liberalnych podręcznikach ekonomii. To nie kapitał ucieka z Polski przed rzekomo niekorzystnymi warunkami prowadzenia tu działalności gospodarczej. Nie, przeciwnie. Kapitał wymienia sobie społeczeństwo na inne. Takie, z którego zrekrutuje sobie tańszych pracowników.

To polska odmiana praprzyczyny „kryzysu imigranckiego” zachodniej Europy, stanowiącego po prostu objaw kolejnego stadium globalnego kapitalizmu. Po co przenosić fabrykę do Ghany, skoro można przenieść Ghanę do fabryki? Dalej, skoro podstawą wielu dochodowych interesów są usługi – to tym bardziej trzeba sprowadzić ich podwykonawców, klienta bowiem przenieść jest nieco trudniej (choć ponieważ dany wykonawca w innej relacji staje się konsumentem – i z tym system daje sobie radę).

W istocie jednak i biadolący w Polsce, że nie będziemy dość atrakcyjni dla Ukraińców, i importerzy siły roboczej na Zachodzie padają poniekąd ofiarami tej samej, podwójnie błędnej analogii. Otóż wychodzą oni z założenia, że skoro „kapitał nie ma narodowości”, to nie ma jej też stanowiąca element jego tworzenia „praca”. Tymczasem to nieprawda – a czynnik narodowy, kulturowy, religijny, tożsamościowy liczy się i zdaje się, że liczyć się będzie nawet bardziej dla pracowników. Ponadto zaś – ma też znaczenie dla kapitału, co widać na bolesnym polskim przykładzie, tak bardzo dysonansującym z tym co się wciąż Polakom opowiada.

Istotna różnica między polskim problemem z Ukraińcami, a zachodnim z pseudo-uchodźcami – polega jednak na tym, że tych drugich ściągnięto nie tyle nawet bagatelizując czynnik etniczno-kulturowy, co właśnie jako środek rozwiązania tego problemu. Innymi słowy – liczone, że wykorzenienie tylko ułatwi przybyszom włączenie się, a tym samym przyspieszenie budowy nowych społeczeństw, pozbawionych także miejscowych korzeni narodowych i cywilizacyjnych. Jak wyszło – widać zwłaszcza na przykładzie Francji. Natomiast w Polsce, gdzie podrabia się rozwiązania zachodnie bez oglądania na ich faktyczne, podprogowe cele – naprawdę tzw elity wierzą, że irredenta ukraińska nie zaistnieje, że nie ma znaczenia, czy przybysze poczują się Polakami – bo przecież liczą się tylko jako prole i konsumenci. Oznacza to, że w swojej polityce imigracyjnej Zachód jest może szkodliwszy (bo jeszcze kilkanaście lat temu wydawało się, że opowieści o „kalifacie europejskim” są grubą przesadą, teraz zaś nie jest to już takie pewne) – ale jego naśladowcy w Polsce po prostu głupszy.

Mit, że w jakimś oderwanym od realiów geopolitycznych i faktycznego dziedzictwa ekonomicznego alternatywnym scenariuszu – Castro mógł zbudować na Kubie szczęśliwe społeczeństwo drobnych przedsiębiorców jest więc równie błędny i absurdalny, jak wiara, że miliony imigrantów bez żadnych innych konsekwencji po prostu uratują i utrwalą panujący w

Polsce i Zachodniej Europie system społeczno-ekonomiczny. Oba poglądy są wynikiem ignorowania faktów, następstwem ideologicznego zaślepienia – słowem nie powinny mieć miejsca w poważnej analizie czy historycznej (dla Kuby), czy prognostycznej (dla naszej części świata i nie tylko). A mimo to w polskim internecie znaleźć można przecież treści nawet jeszcze głupsze...

Autorstwo: Konrad Rękas

Źródło: NEon24.pl